Lewą marsz

CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

Nr. 2. Grudzień 1942.

„Kto tam znów rusza prawą? Lewa, lewa, lewa!"
Wł. Mojakowski.

PROLETARIAT ZADECYDUJE

U schyłku drugiej światowej wojny imperialistycznej równolegle z perspektywami zwycięstwa poczynają krążyć różnorodne koncepcje urządzenia świata po wojne tak, aby stał się on znowu na czas jakiś możliwie najlepszym ze światów. Najlepszym oczywiście dla możnych, dla potentatów kapitału. Kandydaci na „narody panów", czy to blondyni o chabrowych oczach, czy też ich smagli i kruczowłosi pomocnicy, czy też dalecy skośnoocy sojusznicy z kraju więdnącej wiśni, zapewne smętnie spoglądają w niewyraźną dal. Za to ich szczęśliwi kontrahenci z londyńskiego City czy też Wall-Street mogą z dużym optymizmem ssać wonne cygaro z własnych, bądź co bądź, plantacji i mruczeć z zadowoleniem: All right.

A fabryki idą na trzy zmiany. Wydajność pracy wzrasta stale, a czcigodnego mr. Taylora w zachęcaniu robotników do pracy zastępują dżente'meni, zastępują Litwinow i Majski oraz ci wszyscy tak do niedawna niesympatyczni sekretarze związków zawodowych. Nikt nie strajkuje, nikt nie stawia „nieuzasadnionych" żądań. A więc raz jeszcze: All right.

Wojna obecna tym się różni od poprzedniej rzezi światowej, że klasa robotnicza poparła wszędzie tych, którzy wydali walkę jej największemu wrogowi: hitleryzmowi. Nie trzeba było ofiary Jaurés'a, warunki nie wymagały nieustępliwej antywojennej woli Karola Liebknechta czy Lenina. Wychodowany w niezdrowej atmosferze traktatu wersalskiego polip Trzeciej Rzeszy, zdołał już zmasakrować lub splugawić niemiecką klasę robotniczą. Mikroby faszyzmu zaczynały się rozwijać tu i ówdzie poza krajami osi. Zwycięstwo faszyzmu w skali europejskiej — to klęska proletariatu na długie lata. To też gdy hitleryzm zaczął zagrażać interesom imperialistów angielskich i amerykańskich, klasa robotnicza nie miała innego wyjścia, jak tylko jak najsilniej poprzeć rządy krajów alianckich w walce z państwami osi. Chwilowa dezorientacja, wywołana zawartym w przede dniu wybuchu wojny paktem sowiecko-niemieckim nie zmieniła tego jedynie słusznego stanowiska. Siła państw sojuszniczych zawiera się właśnie w fakcie, że szerokie masy ludności pracują i walczą dla zwycięstwa nie pod przymusem, ale same, z dobrej woli, ba, one jeszcze dopingują swe rządy kapitalistyczne do aktywniejszych poczynań wojennych.

To wszystko napawa takim optymizmem pp. kapitalistów i bankierów anglo-amerykańskich, a optymizm ten prawem osmozy społecznej przenika i na teren krajów okupowanych i, oczywiście, i na nasz teren polski. Śnią się już niektórym czasy powojenne — a sen to piękny: sielanka solidarystyczna. Jacyż dzielni ci robotnicy, a jacy patrioci. No, naturalnie, nie zapomnimy im ich zasług, wynagrodzimy po wojnie, a jakże...

Oto ton szeregu artykułów, jakie pojawiły się ostatnio w polskiej podziemnej prasie prawicowej. Nie mówi się co prawda jeszcze, jak ta nagroda ma konkretnie wyglądać. Istnieją dopiero projekty, ale, jak słuchy dochodzą, niektóre z tych projektów są takie, że ogłoszone dziś, wywołałyby głuchy pomruk niechęci wśród robotników i chłopów.

Za to główne mocarstwa alianckie, U.S.A. i Wielka Brytania, robią już pewne po-

sunięcia solidarystyczne. Karta Atlantycka, na szeroką skalę reformy socjalne w Stanach Zjednoczonych i Anglii, pewne projekty federacyjne, to wyjście naprzeciw żądaniom klasy robotniczej po wojnie. Układ sił, w którym państwa te występują jako sojusznicy Związku Radzieckiego ułatwia im w dużym stopniu te poczynania na wewnątrz.

Nie ulega wątpliwości, że wytworzona przez wojnę sytuacja wywołała pewien zamęt i w szeregach klasy robotniczej. Rozwydrzony szowinizm niemiecki wywołał jako reakcję znaczny wzrost nastrojów nacjonalistycznych wśród proletariatu krajów okupowanych. Fakt ten, nie groźny dziś, stanie się niewątpliwie przeszkodą po wojnie, kiedy w interesie klasy robotniczej będzie leżała jak najdalej posunięta solidarność mas pracujących całego świata. Umiejętne wytwarzanie przez propagandę krajów anglo-saskich i ich sojuszników nimbu wybitnych przedstawicieli tych państw, przedstawicieli będących, rzecz jasna, rzecznikami kapitału, przedstawianie ich jako przyjaciół i sympatyków klasy robotniczej, ma również na celu zatarcie ostrza walki klasowej. Fakt, że armie tych państw, pokonają w ostatecznym rozrachunku groźne armie hitlerowskie, że zniweczą sam hitleryzm i przyniosą wreszcie upragniony pokój, fakt ten przysporzy zwycięzcom najwięcej sympatii.

Jeżeli chodzi o Polskę, to już zauważyć możemy, jak niektórzy, znani i przed wojną z oportunizmu przywódcy robotniczy chętnie nadstawiają ucha w kierunku skąd dochodzą sielankowe tony solidaryzmu, jak łatwo wymykają się słowa: socjalizm, jak szybko uznają za maximum żądań deklarację społeczną rządu polski go w Londynie. Inny, mający teoretycznie nawet rewolucyjne nastawienia, cechuje brak szerokiego rozmachu, brak śmiałej, jasnej, prosto wytkniętej socjalistycznej linii. Ci, uśmiechają się kwaśno przy słowie „marksizm", zapominając, że jedynie orężem nauki Marksa i Engelsa można wywalczyć w każdej sytuacji jak najprostszą drogę do zwycięstwa klasy robotniczej. Inni znowu działacze zapatrzeni na Wschód, a nie wierząc we własne siły, uważają, mimo pozornie wojowniczych haseł, że wyzwolić proletariat polski można tylko „rewolucją z zewnątrz". Na jaki opór, nie tylko psychiczny, i na jakie tragiczne powikłania naraziłoby nas tak e rozwiązanie, również nie trzeba uzasadniać.

Wyrażamy opinię że wszystkie te, oportunistyczne w gruncie rzeczy tendencje, które nurtują wśród wielu przywódców klasy robotniczej, pozbawionych dużo prawidyzmu — zostaną przez życie zmiecione z powierzchni dnia. Klasa robotnicza, podlegająca dziś najsroższym prześladowaniom w krajach okupowanych, dająca swe życie na polach bitew, wkładająca maksimum wysiłku w pracę przy produkcji zbrojeniowej — nie zadowolni się po wojnie, nie może się zadowolić drugim Wersalem. Doświadczenie lat 1918 — 1939 nie pójdzie na marne. Zwycięstwo nad faszyzmem niemieckim, to pierwszy etap walki. Dziś każdy człowiek pracy rozumie, że nowy Wersal, to nowa rzeź światowa za lat kilkanaście. Naczelnym hasłem, które świadomie, czy podświadomie nurtuje umysł i uczucie każdego robotnika, to walka o taki ustrój społeczny, w którym by wojna była niemożliwością. Stare hasła proletariuszy niemieckich — Nicht wieder Krieg — Nigdy więcej wojny — zdeptane brutalnie przez Hitlera, zajaśnieje wkrótce na czerwonych sztandarach, zbroczonych dziś tak obficie krwią robotniczą. Głos mas robotniczych, poparty, o ile przywódcy zawiodą, żywiołowymi ruchami rewolucyjnymi, zadecyduje o układzie powojennym świata.

Zadaniem wszystkich ludzi pracy, zadaniem wszystkich, którzy chcą dotrzymać kroku najpotężniejszej armii, armii proletariatu światowego, jest walka o ożywienie starego hasła Manifestu Komunistycznego: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" — walka o zwycięstwo socjalizmu w skali światowej.

WAWER

W trzecią rocznicę bestialskiego mordu 120 mieszkańców Wawra, zamieszczamy autentyczne wspomnienia, nadesłane nam przez jednego ze skazanych, który cudem uszedł śmierci. Niech ten dokument krzyczy na całą Polskę i świat. Niech walczącym ułatwia pogardę śmierci, niech hartuje słabych, a w upadlających się niech budzi i gruntuje resztę godności ludzkiej.

Ostatni dzień Bożego Narodzenia dobiegał końca. Zapadł wczesny zmrok. Próbo-

waliśmy z żoną grać w karty, by rozproszyć narastającą nudę świątecznego wieczoru. Dwoje naszych dzieci niefrasobliwie hałasowało przy drugim końcu stołu.

Nagle mieszkanie zadrżało od gwałtownego walenia w drzwi. Z niepokojem poderwaliśmy się wszyscy na nogi. Otworzyłem. Czterech gestapowców z pistoletami w rękach wpadło do pokoju. Znieruchomiałem. Ci zaczęli wrzeszczeć i popychać mnie ku wyjściu. Żona zaledwie zdążyła podać mi czapkę — dziwnie niema i zacięta w sobie. Dzieci jedynie rzuciły się w moją stronę z głośnym płaczem. Szybko jednak oderwały się od moich rąk kopnięciem oprawców. Przez dłuższą chwilę słyszałem jeszcze ich wzmagający się na progu mieszkania płacz. Gwałtownie oderwany od niefrasobliwych zajęć, nie mogłem zorientować się w sytuacji. Szybko włączono mnie do grupy aresztowanych, która gęsto obstawiona gestapowcami stała na drodze. Na niebie wyjątkowo jasno błyszczała, ja by wypolerowana tarcza księżyca. Gwiazdy rozpłomienione nieznanym żarem połyskiwały mimo, że mróz zapierał oddech. Zatrzymywaliśmy się przed każdym napotkanym domem: grupa aresztowanych ciągle rosła. Wreszcie kiedy osiągnęła c fr 25 mężczyzn, poprowadzono nas w kierunku domu, w którym się mieściło dowództwo gestapowców.

Staliśmy przed wejściem miotani sprzecznymi uczuciami. Nagle hałas w drzwiach budynku przelał się przez próg, a nas pojedyńczo popychano przed siebie. Stałem w środku gromady, czujny na każdy gest oprawców. Pierwszego z aresztowanych brutalnie pociągnęły ręce rozstawionych w korytarzu gestapowców. Usłyszałem krzyk i głuche razy. Gromada zafalowała, przeszło ponie j trwożne westchnienie grozy i bezradności. Szereg szybko topniał w pełnym jęku i charkotliwych wymysłów korytarzu. Zacisnąłem zęby, czekając z determinacją swojej kolejki. Z pochyloną głową przekroczyłem próg. Pierwsze uderzenie kija poczułem na szyi, jak smagnięcie rozżarzonym prętem żelaznym. Dalsze uderzenia w swej dolegliwości zagubiły się w pierwszym, najbardziej dokuczliwym bólu. Jedynie uświadomione pragnienie, jakie mnie w tej chwili opanowało, to chęć jaknajszybszego przebycia okropnego szpaleru. Gwałtownie pulsująca w skroniach krew natarczywie przypominała: — nie upaść, za wszelką cenę nie upaść, bo zabiją. Popchnięty ostatnim uderzeniem, potknąłem się o odciągane przez gestapowców ciało nieprzytomnego chłopca. Kiedy podniosłem z nad ziemi wzrok, zdawało mi się, że rozszerzone źrenice nie pomieszczą okropnego widoku. Stłoczona w kącie sali gromada aresztowanych, głuchym, tłumionym jękiem świadczyła o swym istnieniu. Poznaczone sińcami, pęknięciami skóry, spływające krwią twarze tępo czepiały się swych sąsiadów, jakby w nich chciały znaleźć odpowiedź na nurtujące pytania...

Z sąsiedniego pokoju wszedł po chwili najstarszy rangą oprawca. Postacie żołdaków stężały w komedii posłuszeństwa. Jakby w odpowiedzi na skierowane w jego stronę spojrzenia skazanych, zaczął coś czytać we własnym języku. Wyrzucane z gardła słowa, padały jak kule karabinowe, na które według słów „wyroku" — zostało skazanych 120 mieszkańców Wawra za postrzelenie w sprzeczce pijackiej przez znanych przestępców kryminalnych dwu żołnierzy niemieckich. Znany w miasteczku „volksdeutsch" przetłumaczył treść wyroku na język polski. Czułem, że nie zniosę naporu próżni, która się rozprzestrzeniała we mnie, hamując niemal całkowicie prężność krwi w żyłach. Resztą sił uczepiłem się wzrokiem gromady. Byli to w większości robotnicy w odświętnych ubraniach, o upartym wyrazie twarzy. Dłonie ich, podtrzymujące dotychczas obolałe części ciał, zwarły się w harde pięści — jedynie ręce z poprzetrącanymi kośćmi zwisały jak niepotrzebne łachmany. Ani jednego słowa słabości, tchórzliwej trwogi, czy upadlającej wobec wroga prośby. Narastała w nas wszystkich zniewalająca otoczenie siła człowieka, który potrafi odważnie umierać.

* *

*

Wychodząc, słabsi wspierali się na ramionach silniejszych. Krótka miała być nasza ostatnia droga w życiu. Gestapowcy wprowadzili nas na niedaleko położony plac, otoczony zewsząd parkanem. ustawiony na samochodzie reflektor, wyszukiwał ostrymi językami najodpowiedniejszego miejsca mordu. Stanęliśmy w rogu placu. Nie czułem najmniejszej trwogi. Kiedy padł rozkaz: — klękać — byłem zdolny obserwować przed sobą jedynie wydłużone na śniegu cienie skazanych. Reflektor niespokojnie manewrował kłującymi po plecach smugami światła. Ktoś klęczący koło mnie zdjął czapkę. Tuż z nad ziemi

poderwał się spokojny spiew: „Serdeczna Matko"· Kilka mocnych głosów skandowało twarde słowa o „boju ostatnim". Czapki wszystkich skazanych sfrunęły lekko na śnieg, jak stado wylękłych kuropatw. Nagle ze środka gromady podnosił się i stężał nad nami wysoki posąg ciała ludkiego, który zwrócony twarzą do oprawców, całą szerokością mocnych piersi krzyczał w pozornie pustą noc o Tej, co „jeszcze nie zginęła". W odpowiedzi zaterkotał karabin maszynowy. Ciało krzyczącego zwaliło się jak ścięte. Przycupnąłem do ziemi nieświadom, czy dosięgły mnie kule. Ktoś klęczący za mną poderwał się na nogi, zatrzepotał trwożnie ramionami i zsunął się na mnie całą długością swego ciała. Kiedy przebrzmiało echo salwy karabinowej, padła na pobojowisko tak wielka cisza, że zdawało się, iż słyszę drżenie rąk oprawcy przy karabinie maszynowym. Niespodziewanie z cichym rzężeniem konających zmieszały się skrzypiące na śniegu kroki i pojedyncze wystrzały. Kroki były coraz bliższe, a strzały coraz donioślejsze. Dobijają rannych. Rozłożone ręce wciskałem kurczowo w lodowaty śnieg. Twarz miałem ukrytą pod głową zabitego. Może nie dostrzegą. Snopy świetlne reflektora zgarnęła z zabitych ręka żołdaka. W bladym świetle księżyca podniosłem nad pobojowiskiem ciepłą od krwi głowę.

TRAGEDIA WŁADYSŁAWA BRONIEWSKIEGO

Twórczość poetycka Władysława Broniewskiego jest nierozłącznie związana z działalnością bojową polskiej klasy robotniczej. Gdy proletariat polski poparł akcję zbrojną Piłsudskiego, Broniewski, jak tylu innych, którzy z walką o socjalizm wiązali nierozerwalnie walkę o niepodległość — znalazł się w szeregach Pierwszej Brygady. Gdy po wojnie Piłsudski zdradził ostatecznie sprawę klasy robotniczej i poświęcił się budowie burżuazyjnego państwa polskiego, Broniewski nie stanął na baczność przed Piłsudskim, nie uznał go za swego komendanta, jak Moraczewski i inni pierwszobrygadziści. Najwyższym rozkazem była dlań święta sprawa wyzwolenia klasy robotniczej. Stanął znowu do walki. Jak prawdziwy poeta walczył wierszem.

„I jak stary mannlicher wali
wiersz mój gniewny, broń szybkostrzelna" —

pisał w jednym ze swych zbiorków.

Tradycje bojowe proletariatu zawarł Broniewski w tak wspaniałych utworach, jak „Komuna Paryska", „Elegia o Ludwiku Waryńskim", w rzędzie wierszy, poświęconych rewolucji 1905 roku („Róża", „Na śmierć rewolucjonisty"). Równocześnie kroczył w pierwszych szeregach walczących. Jego wiersze to hasła bojowe. Wiedział, że walka jest ciężka, nieustępliwa. To też rzucał mocne słowa zachęty „Pionierom":

„Cóż, że biją, cóż, że są siłą,
Cóż, że miażdżą kolbami twarz.
W mur głowami. Serca przez wyłom.
W dni Bastylię zwycięski marsz.

W pierś uderzyć młotem — nie pęknie,
Zatnij usta, choć w ustach krew.
Jeszcze będzie jaśniej i piękniej,
Będzie radość i będzie śpiew".

Gdy fala rewolucyjna wzrastała, gdy proletariat polski w potężnych strajkach i manifestacjach zdobywał sobie lepsze pozycje, dudniły bojowe dźwięki pieśni Broniewskiego. W zakończeniu wiersza o Zagłębiu Dąbrowskim pisze:

„By te słowa porwał niejeden
jak lonty dynamitowe,
Na Hutę Bankową, na Reden.
Zapalać. Gotowe? — Gotowe".

Gdy nawała faszyzmu zaczęła się przewalać po Europie, gdy jej refleksy zaczęły oddziaływać i na Polskę, uzewnętrzając się w Brześciu i Berezie, pieśń Broniewskiego nabrzmiewała troską. „Ciąży sercu troska i pieśń" — pisał, a robotnicy, zaciskając zęby, czytali te utwory, przeżuwali je w sobie i przygotowywali się do nowych bojów.

Forma wierszy Broniewskiego, świadomie prosta, nie zaśmiecona mętnymi wypocinami futuromanów, a przesiąknięta niezmiernie głębokim, płynącym z diamentowych pokładów najczystszego serca liryzmem — udostępniała jego utwory najszerszym masom. Nie było pochodu 1-majowego, nie było uroczystości robotniczej, gdzieby nie rozlegały się silne strofy jego pieśni, jego słowa porywające. Rozumieli go starzy robociarze, deklamowały z zapałem jego wiersze dzieci robotnicze. — To nasz poeta, Broniewski — mówiło się o nim na Woli, Pradze i Muranowie, w Lodzi i Zagłębiu, w Krakowie i w Borysławiu. Broniewski sam pisze w pięknym wierszu „Księżyc ulicy Pawiej" z jaką ufnością zwracał się do niego mały krawiec z Muranowa, współtowarzysz z Pawiaka, Izaak Gutkind:

„Towarzyszu Broniewski, napiszcie
wiersz o celi trzydziestej pierwszej".

I Broniewski był zawsze gotów wykonywać zamówienia społeczne swej klasy. Gdy daleka Hiszpania broczyła krwią ludową, Broniewski wraz z antyfaszystami z półwyspu Iberyjskiego wołał: No pasaran. Braciom hiszpańskim rzucił za Pireneje: „serce poety — cześć i dynamit".

Popularność poety wzrastała nie tylko wśród robotników polskich. Wiersze jego tłumaczone były przez najlepszych poetów na język rosyjski, ukraiński, białoruski, żydowski. Broniewski, poeta na wskroś polski, był równocześnie symbolem solidarności międzynarodowej.

Do Związku Radzieckiego żywił Broniewski najgłębsze sympatie, jako do kraju, w którym buduje się socjalizm. Jemu przecież i „w śledczym areszcie płonęły wielkie piece Magnitogorska". Największy poeta radziecki, Włodzimierz Majakowski, gdy przejeżdżał przez Warszawę w drodze do Ameryki, zatrzymał się u Broniewskiego, manifestując tym swe sympatie do piewcy polskiej klasy robotniczej. Podczas swego kilkutygodniowego pobytu w Związku Radzieckim (na kilka lat przed wojną), Broniewski był tak szczerze i serdecznie witany przez robotników rosyjskich, jak w kraju przez robociarzy polskich.

I oto nadszedł groźny wrzesień 1939 roku. Nawała hitlerowska całą potęgą swych żelaznych kohort zwaliła się na Polskę. Broniewski dosłownie na tydzień przed wybuchem wojny drukuje swój wiersz „Bagnet na broń", a hasło to podchwytują znowu masy robotnicze, podchwytuje cały naród. Mimo najofiarniejszej walki — przemoc zwycięża. Broniewski znajduje się we Lwowie, gdy wkracza tam armia czerwona. Ludzie koniunktury, „poputcziki" i lekkoduchy przechodzą szybko do porządku dziennego nad tragedią mas ludowych Polski, które dostały się w jarzmo hitlerowskie. Zachłystują się entuzjazmem, jakże często fałszywym. Niektórzy, do wczoraj nie mający nic wspólnego z socjalizmem, zaczynają z punktu uprawiać tzw. podchalimaż, lizusostwo. Broniewski przeżywa straszliwie klęskę swego narodu. Uczucie jego, uczucie poety - liryka doznało niesłychanego ciosu. Nie upada jednak na duchu. Wie, jest głęboko przekonany, że klęska to przejściowa, że umiłowana sprawa socjalizmu zwycięży jednak ostatecznie, że zakwitnie on kiedyś na ziemiach polskich. Wyraz swym przeżyciom daje w nabrzmiałym tragicznym bólem wierszu „Listopad 1939". Przytoczymy go tu w całości:

„Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni
o czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój — ruiny i zgliszcza?
Jak czołg przetoczył się wrzesień z ziemi ojczystej przez piersi,
a bezbronną jest dłoń moja i bezbronną jest ziemia ojczysta.

Ja na tę ziemię powrócę, ja chcę ją zbawić, ocalić,
stamtąd chcę światu płonąć oczu i serca pożarem.
Chcę, by na gruzach Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, by hejnał mariacki szumiał czerwonym sztandarem.

Piękna i dumna Warszawo, chwała twoim ruinom.
Chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.
Podaj mi dłoń Białorusi, podaj mi dłoń Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy.

Tęczo wolności ludów. Moc w zaciśniętej pięści.
Przeminą dni niedalekie i będzie się świat równieśnił.
Piszę dłonią bezbronną, twardą, chociaż się nie mści,
syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni.

Sowiecka racja stanu nie pozwoliła tego wiersza drukować. Wygłaszany jest on jednak na wielu wieczorach poetyckich. Wiersz wzbudza oczywiście zachwyt, wyraża bowiem jak najdokładniej ówczesne uczucia i myśli polskich mas pracujących.

I nagle w początkach 1940 roku Broniewski zostaje aresztowany przez organa NKWD. Wieść o tym rozchodzi się momentalnie w ośrodkach, gdzie znajdują się Polacy. Ludzie pytają zdumieni, czy to prawda? Nikt nie daje wiary. Wiadomość jednak potwierdza się niestety. Wywołuje przygnębienie i protest. — Jak to, nasz poeta aresztowany? — pytają robotnicy. Wśród pisarzy we Lwowie panuje konsternacja. W polskiej gazetce lwowskiej pojawia się inspirowany artykuł niejakiego W Kowalskiego pod wymownym tytułem: „Zdusić hydrę nacjonalistyczną", w którym ni mniej ni więcej oskarża się Broniewskiego o wybujały nacjonalizm polski. Ach, tak! Wyrywa się również, do niedawna poświęcająca się zasadniczo erotomanii, warszawska poetessa i pisze wierszowaną odpowiedź na utwór Broniewskiego, zniesławiającą bohaterską Warszawę. Obie te elukubracje przyjęte są jak przykre zgrzyty. Polacy reagują na nią milczącą pogardą. Wanda Wasilewska pod wpływem powszechnej opinii interweniuje kilkakrotnie u władz. Dociera do samego Berii. Ów następca Jagody i Jeżowa odpowiada jej cynicznie: „Broniewskij, charaszo czuwstwujetsa, daże piszet stichi". (Broniewski czuje się dobrze, nawet pisze wiersze). Podobnie szyderczą odpowiedź dał delegacji pisarzy polskich sekretarz generalny KP(b)B w Mińsku Ponomarenko, gdy przy okazji zakładania gazety polskiej w stolicy Białorusi, zwrócili mu oni uwagę, jak wielkie wrażenie wśród robotników Białegostoku, wywołało aresztowanie Broniewskiego. (Na krótko przed aresztowaniem odbył się wieczór poetycki Broniewskiego w Białymstoku, a włókniarze tamtejsi zgotowali mu serdeczną owację). Wielkorządca Białorusi, Ponomarenko, powiedział delegatom: „Rozpatrzymy tę sprawę. I być może niedługo napiszemy w naszym dzienniku: — Znany poeta polski, Władysław Broniewski przebywa obecnie w kurorcie w Soczi i w krótce wystąpi na łamach naszego pisma". Oczywiście były to kpiny. Więzienia sowieckie nie otwierają się tak łatwo...

Broniewski nie był zresztą pierwszym rewolucyjnym pisarzem polskim, którego po wyjeździe do Związku Radzieckiego spotkała tak tragiczna niespodzianka. Współautorzy wydanego w latach dwudziestych w Warszawie zbiorowego tomu wierszy rewolucyjnych pt. „Trzy salwy, Witold Wandurski i Stanisław Ryszard Stande dawno już zostali aresztowani i ślad po nich zaginął. Ten sam udział spotkał wybitnie uzdolnionego autora powieści „Palę Paryż" i wspaniałego poematu „Słowo o Jakubie Szeli" Brunona Jasińskiego oraz autora "Kwaśniaków" Henryka Drzewieckiego. W roku 1940 aresztowali we Lwowie znaną tłumaczkę autorów sowieckich, Halinę Pilchowską, poetę ludowego Wojciecha Skuzę oraz twórcę i teoretyka awangardy poetyckiej w Polsce, Tadeusza Peipera. Równocześnie „zginął bez wieści" rewolucyjny poeta chłopski, Marian Czuchnowski. Broniewski nie był ani pierwszym, ani jedynym. Dlaczego tak się działo? Niech na to odpowie historia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Broniewki nie zaprzepaścił się w obozie koncentracyjnym, tak jak jego poprzednicy. Pakt sowiecko-polski otworzył mu bramy więzienia. Dziś Broniewski jest znowu żołnierzem armii polskiej. Proletariat polski nie wyrzekł się swego piewcy. Wierzymy, że wróci on znowu do ojczyzny będzie nadal bardem swej klasy. W wierszu „Nike" pisał kiedyś poeta:

„My jesteśmy żołnierze bez sławy,
My nie znamy rachuby klęsk.
Łańcuchami przykuci do nawy,
Obwozimy nasz ból i jęk.

Ale gdzieś za tysiączną klęską,
Zakończymy nasz krwawy marsz,
Będzie inny bój i zwycięstwo,
Inna Grecja nas zdejmie z tarcz".

Towarzyszu Broniewski. Gdy wrócisz, przyjmie cię jak swego „inna Grecja". Będzie nią Polska robotników i chłopów, Polska, w której na gruzach Warszawy będzie rósł żelbetonem socjalizm, w której hejnał Mariacki będzie szumiał czerwonym sztandarem.

WIERZ I WALCZ

Gdy wróg ojczyznę depcze wzdłuż i wszerz,
świętości szarga z nienawiścią wściekłą,
kiedy nad niebem górę bierze piekło,
bo zbir sumieniem włada ludzkich rzesz;

gdy się w człowieku dziki budzi zwierz,
ofiar teroru krwi morze wyciekło,
bacz, by cię słowo „finis" nie urzekło,
rąk nie opuszczaj, ale walcz i — wierz.

Wierz, że paść musi człowieczeństwa wróg,
że nikt narodów dziś w jarzmo nie wprzęga,
że musi szatan lec u Chrystusa nóg,

że twoja siła tam, gdzie wola, sięga,
że kto chce mocno — wszystko będzie mógł...
Wierz i pamiętaj: wiara to potęga.

DIALOG O TEATRZE

(Z kół amatorskich otrzymujemy poniższy dialog.
Do sprawy „polskiego" teatru jeszcze wrócimy).

(Podsłuchałem niedawno pewną rozmowę. Nieładnie to wprawdzie podsłuchiwać, jednak wpadł mi w ucho temat tak aktualny, że zaciekawiony słuchałem, przepisałem i podaję dalej).

— Był pan ostatnio w jakim teatrze?

— Nie, proszę pani, nie chodzę do teatru.

— Dlaczego? Nie lubi pan teatru?

— Kocham teatr.

— Więc?...

— Więc, jeśli mam być szczery, to dziwi mnie pani pytanie...

— ?...

— No tak. W dzisiejszych czasach chodzić do teatru...

— Właśnie. Czasy takie smutne — człowiek chciałby się choć trochę rozerwać.

— Czy pani istotnie nie zdaje sobie sprawy z tego, że żaden Polak nie powinien chodzić do tych okupacyjno-propagandowych teatrzyków.

— No wie pan — propagandowych. Jeszcze w żadnym z teatrów nie słyszałam nic propagandowego na rzecz okupantów.

— Zaraz, zaraz... Postaram się to pani wyjaśnić. Otóż propaganda ta polega na tym, ażeby pokazać na zewnątrz, iż u nas w Polsce jest idealnie. W Warszawie jest kilkanaście teatrzyków i kin. Repertuar, nazwijmy go łagodnie — frywolny. Teatrzyki pełne publiczności. Więc jak tu wierzyć plotkom, że w „GG" jest... źle, że są masowe rozstrzeli-

wania..., że codziennie nadchodzą wiadomości o śmierci kogoś najbliższego w Oświęcimiu, że setki ludzi dręczą na Pawiaku lub na ulicy Szucha, że są łapanki uliczne..., że wymordowano najbardziej wartościowe jednostki... Przecież, gdyby to wszystko było prawdą, to żaden Polak najbardziej lekkomyślny, nie potrafiłby pójść do teatru, a zwłaszcza na ogłupiający repertuar. A tu teatrzyki pełne. Kina także, a programy w nich jakie? — Oczywiście niemieckie... A przecież gdyby była chociaż cząstka prawdy w tym co się zarzuca Niemcom, to czyż szanujący się Polak poszedłby do kina na niemiecki program?... O, widzi pani, na tym polega propaganda teatrzyków i kin warszawskich.

— Powiedział pan teatrzyków, ale są przecież i dwa teatry...

— A co grają te „teatry"? Czy wolno w nich zagrać coś naprawdę wartościowego? Nie. Albo o symbolicznym tytule niewiarowiczowską kompilację „Dlaczego zaraz tragedia" albo zdymszone „Szczęście Frania" lub też publiczne pranie brudów państwa Dulskich. A w drugim teatrze co? Same niemieckie operetki.

— Jednak przecież aktorzy też muszą z czegoś żyć.

— Widzi pani, znowu zakłamujemy się, iż chodzimy do teatru dlatego, że aktorzy muszą żyć... Przed wojną był teatr w każdym większym mieście, a w samej Warszawie było kilka teatrów TKKT i kilkanaście prywatnych. Pracowało w nich paręset aktorów. Obecnie jest tych teatrów kilka i to tylko w Warszawie. W innych miastach pozamykano teatry. Czy troszczymy się o setki tych aktorów, którym zabrano warsztaty pracy? Nie. Mówmy tylko o tych, których nazwiska czytamy obecnie na afiszach... Ale proszę pani, czy pan Junosza Stępowski, który przed wojną zarabiał po kilkanaście tysięcy miesięcznie, nagle znalazł się w tak wielkiej nędzy, że odrazu musiał iść wygłupiać się i marnować swój wielki talent w teatrzykach?... Albo p. Malicka, współwłaścicielka jednej z kawiarni?... Albo pani Perzanowska, która jeszcze rok temu była czołową i świetnie płatną reżyserką teatru propagandy sowieckiej w Wilnie. No, bo ci inni ten szereg przeciętnych aktorów poszedł tylko za przykładem swoich „mistrzów".

— A więc aktorzy winni, że grają.

— Nie zupełnie, proszę pani. Gdyby publiczność bojkotowała obecny „teatr", aktorzy nie mieliby dla kogo grać — a rozmaici wojenni „dyrektorzy" nie piliby i nie tuczyliby się dzięki polskiemu upodleniu.

O POMOC MATERIALNĄ DLA PISARZY POLSKICH

Znana powieściopisarka polska o zbiedzonej, wychudłej, postarzającej ją wydatnie twarzy wchodzi do spółdzielni i pyta, czy już wydają deputat. Dowiad je się, że może przyjść dopiero za tydzień. Przeprasza kilkakrotnie niewiadomo za co, chyba za to, że nic nie kupuje i wychodzi drżącym, niepewnym krokiem.

Do kuchni RGO na wodniste zupki z brukwi przychodzi codziennie wybitny krytyk literacki. Kuli się z zimna w letnim płaszczyku, bo to już grudzień. Palto zimowe — zabytek przedwojennych czasów, sprzedał na wiosnę, licząc że do zimy może się coś zmieni. Zmieniło się o tyle, że nabawił się chronicznego kaszlu, którym denerwuje współbiesiadników przy brudnym stole.

Inny pisarz, sławny w kilku krajach europejskich, w tejże samej instytucji R G O wypytuje niepewnie, fałszywie nonszalanckim głosem w jaki sposób można otrzymać obuwie. Strzęp czegoś, co kiedyś nosiło nazwę kaloszy, zakrywa mu tzw. półbuty. Palców gołych w każdym bądź razie nie widać.

Oto sytuacja twórców kultury polskiej, moralnych przywódców narodu. W czwartym roku okupacji hitlerowskiej wielu z nich zaczęło pracować w różnych biurach i urzędach, gdzie odrabiają wyjaławiające ich „kawałki" za 200 zł miesięcznie. Oni, „niedorajdy życiowe", nie potrafią dorabiać sobie czwartej i piątej pensji „na lewo", jak inch przedsiębiorczy koledzy biurowi z urzędów kwaterunkowych lub „finanzinspektorzy". Wyprzedają wszystko, co tylko można spieniężyć. Wyprzedają największy swój skarb — biblioteki. Ale co to pomoże. Więc najzwyklej w świecie głodują w najrzeczywistszym tego słowa znaczeniu.

Inni, młodsi, tacy, którzy n'e zdołali się przebić przez Maginoty uprzywilejowanych klik l.terackich, a nawet ci, których sławetna Akademia Literatury raczyła zauważyć, udzielając im łaskawie jednorazowego stypendium w kwocie 100 zł, zakopują coraz głębiej swój talent. Usiłują „handlować", pracują u szewców, są dozorcami nocnymi w ogródkach działkowych. Wszystko to jak najbardziej odległe od literatury.

Społeczeństwo, wyniszcz ne systematycznie przez okrutny teror hitlerowski, walczące w swej większości z codzienną troską materialną, przechodzi obok tej sprawy obojętnie, nie zauważa jej po prostu. Nuworisze wojenni również nie myślą o tym, rzecz jasna. Ich potrzeby kulturalne zaspakaja sprzedajny aktorzyna, aranżujący nawet w czasie, gdy w kraju stoją setki szubienic, bezwstydną rewię p n. „Grunt to humorek".

Jakież więc wyjście? Zbrodnicze łapy okupanta dosięgnęły już niejednego z naszych l.teratów. Czyż pozwolimy tej reszcie, która jeszcze wegetuje zginąć doszczętnie, zmarnować się, czyż sami mamy przyczynić się do takiego uszczerbku polskiej kultury?

Najwyższy czas, aby polskie czynniki miarodajne o tym na se io pomyślały. Pisarzom pol kim, tak nieugiętym i niezłomnym w swej postawie moralnej należy przyjść jak najrychlej z wydatną pomocą. Sądzimy, że rząd polski w Londynie, że delegatura rządu w kraju łatwo mogą zorganizować formy takiej pomocy. Istniejące organizacje mogą zresztą ułatwić to zadanie. W każdym razie fundusze na ten cel znaleźć się muszą.

Z pewną inicjatywą mogliby wystąpić także ci Polacy, których reżim hitlerowski nie pozbawił jeszcze fortuny. Wiemy napewno, że podczas wojny powstała znaczna ilość utworów, pisanych zarówno wierszem, jak i prozą, które—rzecz oczywista—nie mogą być dziś publikowane. Nabywanie tych dzieł w rękopisie pozwoliłoby również na spokojniejszą egzystencję wielu piszącym, a nabywcy dałoby możność nienajgorszej lokaty kapitału, obdarzając go przy tym tytułem mecenasa.

Walka o egzysten ję pisarzy polskich, to również jeden z odcinków walki o kulturę polską. O tym musimy wszyscy pamiętać.

KREATURY

Znany przed wojną w kołach naukowych dr. Feliks Burdecki wydał książkę p. t. „Ku powszechnemu ideałowi obowiązku pracy", w której gloryfikuje ustrój hitlerowski, przedstawiając zaprowadzone przez krwawy reżim faszystowski stosunki jako ... szczyt marzeń robotniczych, Tenże sam Burdecki jest redaktorem h tlerowskiego pisma dla młodzieży p. n. „Ster", w którym usiłuje zatruwać dusze polskiej dziatwy jadem hitlerowskim. Kanalia ta udawała przed wojną wielkiego radykała i rewolucjonistę. Burdecki był działaczem Międzynarodowego Kom tetu Pokoju i podlizywał się przy tej okazji świetlanej pamięci pisarzowi i człowiekowi bez skazy — Andrzejowi Strugowi. Dziś jest mizernym służką w sforze Franka i Goebbelsa i gorliwie zasługuje sobie na stryczek.

Równocześnie w tzw. „Wydawnictwie Polskim", którego dyrektorem jest Niemiec, a zyski czerpie Urząd Propagandy, wydał powieść pt. „Cienie na piasku" p. Juljusz Znaniecki. Wydawnictwo jest, rzecz jasna, bojkotowane przez wszystkich uczciwych pisarzy polskich, P. Znaniecki chce sobie jednak zdobyć uporczywie sławę. Narazie zdobył jedynie pogardę ogółu Polaków.

W Warszawie grasuje udający muzyka i pedagoga jegomość nazwiskiem Ludwik Ramult-Baldwin. Kreatura ta, będąca oficjalnie agentem Gestapo, ma za zadanie szpiclować świat literacki i artystyczny stolicy. On to przeprowadza „czystkę" w księgarniach i bibliotekach. Z jego inicjatywy zamknięto wiele bibliotek oraz zlikwidowano warszawską Zachętę. Ramult za swe zasługi otrzymał od Gestapo wielkie luksusowe mieszkanie po bogatym przemysłowcu żydowskim wraz z meblami i obrazami, oraz księgarnię po F. Hoesicku, w której zgromadził masę książek z księgarń żydowskich i polskich.

Duże usługi oddaje również Niemcom dr Julian Punikowski, docent muzykologii U. J. P. Pomaga on przy dewastowaniu zbiorów muzycznych i niszczeniu dorobku wielu pokoleń.

Z muzyków należy wymienić jeszcze Adama Dołżyckiego i Dolnickiego. Ci nagle zostali Ukraińcami i manifestują swe wielkie przywiązanie do kultury niemieckiej. Inne znowu typki nie mają nic innego do roboty, jak tylko komponować „modne" szlagiery bez krzty talentu i oryginalności. Są to: W. Krupiński, A. T. Müller, Z. Krukowski, St. Bronicz, Zb. Mirski. Słowa tych szlagierów piszą grafomani: St. Antonowicz, St. Gozdawa, J. Markowski, E. Żytomirski, St. Strué.

W autorów sensacyjnej literatury zabawiają się znowu jacyś: A. Gruda, T. Hołyński, S. Kłyszewski, B. Niedziels i. J. Krysiński, A. Wiechliński, M. Żuławski.

Społeczeństwo polskie odnosi się do tych skrybów z pogardą i odrazą. Po wojnie czeka ich stryczek, więzienie lub hańba do końca życia.

Gdy znosimy wszyscy w Polsce los nad wyraz ciężki
i tak często złorzeczymy sprawcom naszej klęski,
z grona dzielnych dezerterów — nie wiedzieć dlaczego —
wciąż wymienia się niesłusznie zaledwie jednego.
Ale przecież nie on tylko — z racji swego kijka —
tu zawinił. Zawiniła cała

Galeryjka.

Oto klęsk Polski jakie są powody:

Siedemdziesięcioletni na Zamku pan młody,
Wodzem Narodu — lepsza niźli nic — buława,
Ze spraw wewnętrznych — płoty, najważniejsza sprawa;
W zewnętrznych: zaolziański hurra - triumfator,
W sprawiedliwości: brzeski prokurator,
W rolnictwie: z reform rolnych wyzuć własność drobną,
W oświacie: grunt, by żydki siedziały osobno,
W skarbowości: z autami walka, bo to zbytek,
Wojna: za kulisami, u stóp faworytek.
Senat i niemy Sejm Rzeczpospolitej —
żłób dla „elity".

WARSZAWA DZIŚ
(felieton)

Warunki tworzą człowieka. Ale jednocześnie słuszna jest zasada, że istota nie umiejąca się dopasować do zmienionych okoliczności życiowych — ginie. Te dwie prawdy znajdują doskonałe potwierdzenie w codziennym życiu warszawskim po wrześniu 1939 r. Walczyć i trwać. A właściwie tylko walczyć; bo przecież zwykłe biologiczne trwanie przeistoczyło się w permanentną walkę. Rozdrobnioną wprawdzie, wymykającą się naszym kryteriom, przywykłym łączyć walkę z patosem, ale tym bardziej intensywną, trwającą nieprzerwanie, niemal na każdym kroku. Przyszły epos bohaterskiej Warszawy będzie musiał pospolite zjadanie chleba podnieść do godności czynów heroicznych. Spryt bowiem, wykręt, podstęp w stosunku do wroga są dziś podstawą życia niejednej rodziny robotniczej, czy urzędniczej. Zawsze jednak towarzyszą tym zjawiskom represje tak wielkie, że pospolita czynność przybiera formę cichego bohaterstwa. I w tym wypadku to, co przywykliśmy traktować jako zło społeczne, przekształca się dialektycznie w swe przeciwieństwo.

Ciężki jest trud walki żołnierskiej na froncie, ciężki jest także codzienny wysiłek człowieka pracy, skazanego przez wroga na zagładę. To też ucho chciwie chwyta strzępki cichych, przelotnie zasłyszanych słów o sytuacji wojennej, oczy przebiegają po mapie szukając nazw miejscowości, które aktualne posunięcia taktyczne wysunęły na czoło rozgrywek wojennych; linia wybrzeża Libii, Cyrenaiki, Trypolitanii czy bohaterskiego Stalingradu są niemal starte z mapy od wodzenia po niej ciężką ręką robociarską. Warszawa nie zna w swej historii tak jednolicie zwartej wrogości wobec nieprzyjaciela i niezachwianej pewności w bliskie zwycięstwo. Potwierdzeniem tych słów jest każdy przejaw życia stolicy walki podziemnej.

Nazajutrz po pogromie Rommla w Afryce, czy po cięgach pod Stalingradem — robotnicy, „dobijający" w porannym tramwaju, niemal pękającym od natłoku, robią to z humorem, dowcipkując o gorą u panującym w tłoku: „Zupełnie jak w Afryce, panie starszy, nieprawda?" W grupach stojących lub przechodzących ulicami, w warsztatach, biurach płynie z ust do ust wiadomość uzupełniana, korygowana, aż osadza się w sercu błogim przeświadczeniem: „Już nie długo". Wzmóc wobec tego czujność, ustokrotnić ostrość, bo jak pisano przed wojną w izbach żołnierskich — wróg czuwa. Z właściwą sobie dokładnością, z nieznaną w dziejach brutalnością stara się zrealizować swoje plany i wyciągnąć z naszego miasta to, co może.

A więc kontyngent siły roboczej do Rzeszy.

Tramwaj zatrzymuje się na przystanku. W ciżbie wsiadających i wysiadających krótkie, niewiadomo przez kogo wypowiedziane słowa: „Na Wolskiej łapią". Tramwaj pustoszeje.

Wieczór. W ciemności śpieszą ludzie do domów. Idziesz, uważając na wyboje na trotuarach i na mało widoczne postacie idących w przeciwnym kierunku. Nagle na jednym z rogów słowa: „Omijać Czerniakowską!... — Omijać Czerniakowską!!..." A więc masowo uprawiany rabunek żywności na ulicach i targowiskach. Zbity, ruchliwy tłum w halach sprzedaje i kupuje wszystko. Bogu i szmuglerom wiadomo tylko skąd w rękach sprzedających słonina, jaja, tłuszcze, chleb, wędliny, cukier, kasza, mydło, ubranie, bielizna itd., itd. Ruchliwa, zajęta sobą ciżba zaczyna nagle powtarzać krótkie słowo: „Nalot". Przebiega ono w ciągu niewielu sekund wzdłuż i wszerz placu. Tłum zafalował, ale bez paniki. Ktoś zniknął w najbliższej bramie, ktoś z determinacją został na miejscu. Za chwilę żandarmi pomieszali się z tłumem. Słychać ich gardłowe poszczekiwania. Jakiemuś mężczyźnie wyszarpują z pod palta pół kilo słoniny; z najbliższej budki granatowy pomocnik wynosi kilka kilogramów kaszy. Niespodziewanie wszyscy obrócili się w jednym kierunku. Słychać śmiechy. Naprawdę słychać śmiechy. To szpicel dostał w mordę kawałkiem wołowiny... A pod murem siedzi ścierająca z twarzy krew babina. Sprzedawała chleb. Dostała pięścią między oczy, wzdragała się oddać koszyk. Krew skapuje na resztę bułek rozrzuconych wokół koszyka. Granatowy wyłapuje je chytrze i chowa do kieszeni. Gębę ma pełną wrzasku, a oczy hieny...

W sąsiedniej ulicy sprzedawca gazet wrzasnął do swego kolegi: — „Franek, żydzi idą!" Istotnie wlekli się ponurym sznurem, apatyczni, o zagasłych oczach, wrażliwych jedynie na żywność. Wracali z pracy. Jakieś psie indywidua obskakiwały ich ze wszystkich stron z pałami gumowymi w łapach. Frankowi udało się dzisiaj: — sprzedał żydom 4 bochenki chleba. Ale jego przyjaciela z rogu puścili dopiero późnym wieczorem. Wrócił do domu napół przytomny od bicia, bez grosza przy duszy. Ale pociesza się. Jutro pójdzie sprzedawać papierosy do śródmieścia: na Siennej, Marszałkowskiej, Chmielnej czy Złotej sprzedaje się często całe paczki najlepszego gatunku. Tu o zmroku przenosi się życie do rozbrzmiewających pospolitą muzyką barów. Tu przy „jednym głębszym" żandarmi hitlerowscy zapominają o tym, że należą do „narodu panów". Z dobrze ubranymi butnymi indywiduami dokonywują jakowychś tranzakcyj, żłopią piwo i wódę, szukają rekompensaty za wysiłek podejmowany w kierunku ugruntowania „nowego ładu" w Europie. Tu zmieniają swego właściciela pieniądze odebrane na wartowni żydom, otrzymane jako łapówki... Wytoczy się ta zgraja późnym wieczorem na ulicę, napełni je swym chrapliwym wrzaskiem i piskiem prostytutek.

Na Wolskiej dano znać o tej porze matce, że Franka zastrzelili podczas „kradzieży" węgla z przejeżdżającego pociągu...

K R O N I K A

— We Lwowie zamordowali Niemcy literata Ostapa Orwina.

— W Warszawie aresztowano profesora SGH, b. prezydenta Polski Stanisława Wojciechowskiego, rektora UJP — prof. Michałowicza oraz wielu profesorów wyższych uczelni, literatów, aktorów i dziennikarzy.

— W czasie masowych mordów w ghettcie warszawskim zginęli: literat J. A. Herz i malarz Kramstyk.

— Władze niemieckie zarządziły likwidację Ogrodu Botanicznego w Warszawie związanego organicznie z Zakładem Systematyki Roslin UJP. Personel naukowy Ogrodu i Zakładu został usunięty, cenne zbiory zielnikowe przekazano na skład do Muzeum Narodowego. Zlikwidowano również pracownię Wydziału Farmacji UJP, a nowy gmach chemii UJP przy ul. Pasteura przebudowano na szpital wojskowy.

— Na terenach zachodnich Rzeczypospolitej, gdzie nie istnieją szkoły polskie olbrzymia większość dzieci żyje poza szkołą. Stąd analfabetyzm rośnie z roku na rok. Miarą jego jest fakt, że w Ostrowie Wlkp. jest dziś już 3 tysiące analfabetów.

Odcięcie ludności polskiej od życia kulturalnego powoduje katastrofalne obniżenie się poziomu umysłowego, zwłaszcza u młodzieży. Na skutek kilkakrotych przesiedleń w mieszkaniach pozostało zaledwie po parę książek polskich. Wymienia się je wzajemnie i czyta po kilka razy dla zaspokojenia głodu polskiego słowa drukowanego.

— „Na pobitych polaków pierwszy klątwę rzucę" — groził papież Kordianowi w nieśmiertelnym utworze Słowackiego. I znowu historia się powtarza. Ostatnio papież mianował na ziemiach polskich dwu biskupów niemców, jednego dla Pomorza, a drugiego dla „Warthegau". (Poznań, Łódź, Kalisz). Biskupami zostali dwaj hitlerowcy, Breitinger i Stolz. Równocześnie na miejsce zamordowanego arcyb. Jałbrzykowskiego w Wilnie został mianowany Litwin, znany wróg polskości, który gnębi i prześladuje Polaków. Kler polski, tak patriotyczny w słowach, zdaje się tego nie dostrzegać, a nawet i wśród niego zdarzają się wypadki zdrady narodowej. Oto biskup sandomierski Lorek, wzywa wiernych swej diecezji do posłuszeństwa okupantowi, do lojalnego oddawania kontyngentów oraz zachęca do ochotniczego zgłaszania się na wyjazd do Rzeszy. Zdaje się, że papież wysługuje się Hitlerowi za wcześnie, a biskup Lorek — zapóźno. Albo odwrotnie.